

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata éwieróroczna
wynosi 1 tal. czyli 1 zlr.
50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia
po 1½ sgr. od drobnego
wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 2 sierpnia 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 19.

TREŚĆ: Wybory. Odwrotna strona medalu. Kartka z życia przez Wład. Sabowskiego. (Ciąg dalszy) — Do uszpiónej, wiersz. Zadania filozofji w naszych czasach, napisał Józef Descours de Tournoy. — (Ciąg dalszy.) — Wycieczka do Morskiego Oka przez Zawrat. Napisał Walery Eljasz. (Ciąg dalszy.) — Wiadomości bieżące o rzeczach polskich. — Bibliografia dotycząca Kościuszki Tadeusza i czasów jego. (Dokończenie). — Skrzynka do listów. — Zagadka. — Ogłoszenia.

W Y B O R Y.

Zabierając głos w ważnej sprawie przygotowujących się wyborów poselskich, zaznaczyć przedewszystkiem musimy, iż wielka zachodzi różnica między społeczeństwem, posiadającym własną formę państwowego organizmu, a częstką społeczeństwa, wchodzącą w przymusowy skład obcego państwa. W pierwszym stanowi walka stronnictw normalny i prawidłowy objaw życia politycznego narodu, w drugim jest takowa po prostu gorączkowym drganiem, wysuszającym żywotne soki odłączonej od pnia latorośli.

Wybrani wolnemi głosami postowie narodu, cieszącego się samodzielnym państwowym bytem, idą na sejm, by tam większością głosów wyrazić wolę narodu, która przyodziana w formę prawa reguluje społeczne stósunki. Nic więc dziwnego, że w takim szczęśliwym narodzie, który sam o sobie stanowić może, walka wyborcza toczy się zacięcie a każde stronnictwo stara się zapewnić sobie większość w reprezentacji ogólnej woli. W Anglii zwłaszcza, gdzie skład ministerstwa t. j. wykonawców narodowej woli zależy od parlamentarnej większości, walka ta przybiera monstrualne rozmiary.

U nas w Wielkopolsce sprawa wyborów inne zupełnie ma znaczenie. Przyłączeni gwałtem do

obcego nam zupełnie państwa, żyjemy pod kierunkiem woli, która nie jest naszą, pod gwałtem przemocy. Ani w sejmie, ani w parlamencie większości nie osiągniemy nigdy; nie mogąc zatem przeprowadzić tego, czego sobie życzymy i co jest istotną naszą potrzebą, jesteśmy tam obecni jako wyobraźnicy ciągłości i nieprzerwalności praw pogwałconych.

Nie mając politycznego bytu, nie mamy również politycznych stronnictw we właściwym ich znaczeniu i pojęciu; członkom zaś różnych kół towarzyskich wszystko powinno być jedno, czy w liczbie polskich posłów więcej jest konserwatystów, umiarkowanych czy liberałów. Różnią nas pojęcia i wyobrażenia — łączy niedola i polskość. Konserwatysta czy liberał posłany do Berlina będzie przedewszystkiem Polakiem, postępowanie jednego czy drugiego będzie toż samo, bo należąc do mniejszości, czynność jego ograniczyć się musi na proteście przeciw nadużyciom siły, gwałcącemu prawa narodowości i kościoła, które wszystkim nam porównano są drogie. Mówimy z naciskiem porównano, bo tylko galopująca arogancja lub przewrotność opętanego samolubstwem umysłu zdobyć się może na postawienie różnicy między dobrym a złym Polakiem i dobrym lub złym katolikiem.

Pytamy, kto śmie po za obrębem kratak sądowych i konfesjonału roztrząsać głąb naszych uczuć i sumienia? l'ytamy, gdzie criterium do takich sądów?

Złym Polakiem jest tylko ten, co pełza u stóp wroga, co kupczy narodowością i poświęca ją dla własnego lub hierarchji dobra — złym katolikiem jest ten, co w kościelną chorągiew zawija ścierkę ludzkiej ambicji a religji używa za pomost do popularności.

Posądzać a nawet przypuszczać, że ktokolwiek jest w sumieniu takim złym Polakiem i katolikiem, jest niegodziwością, na którą się żaden prawy obywatel nie zdobędzie. Złego Polaka i katolika łatwo poznać po czynach i machinacjach a wówczas łatwo się go uchronić. Z całej zaś reszty zdrowego i wykształconego naszego społeczeństwa wybierać powinniśmy posłów bez względu na koło towarzyskie, do którego należą. Zebrani w Berlinie posłowie nasi nie zastępują ani demokracji i liberalizmu, ani arystokracji i konserwatyzmu, lecz polskość i tylko polskość. Zorganizowani w kole poselskiem nie mogą występować arbitralnie i samopas, w mowach swoich nie mogą dawać wyrazu osobistym predylekcjom, lecz występują z przedmiotowo-polskiego stanowiska w formie i treści, jaką Koło uchwali i na jaką się wszyscy i kaźden solidarnie zgodzić musi. Koło poselskie i solidarność jego to najwyższa i zupełna gwarancja dla wyborców, iż sprawy ich i prawa narodu jednolicie i z siłą zastępowane będą, iż w obec wrogów w kaźdej chwili stanimy zgodnie i godnie.

Wybierajmy więc na posłów przedewszystkiēm ludzi, gotowych kaźdej chwili i przy kaźdej sposobności uszanować uchwały koła i poddać się solidarności bez szemrania i protestów. Strzeźmy się natomiast anarchistów, maroderów osławionej pamięci liberum veto, niechcących i nieumiejących podporządkować swego ja woli zbiorowej — sprawujących na polu parlamentarnēm podobny efekt, jak na cecorskiem polu sprawili ciury w taborach Żółkiewskiego.

Ponieważ w nierównēj walce, jaką toczymy, potrzeba rozwinąć wiele stanowczości i cywilnej odwagi, wybierajmy ludzi niezłomnego charakteru, stałych przekonań, znanēj wierności w obstawaniu przy raz wygłoszonych zasadach. Niechaj one będą więcej lub mniej postępowe, ale

niechaj będą stałe. Strzeźmy się zaś wszelkich woltżerów i motylków — strzeźmy się demokratów, wycierających książęce lub ministerjalne przedpokoje, i arystokratów schlebiających motłochowi, wznoszących się do kandydatury na ramionach wszelakiego plebsu. Strzeźmy się nadewszystko adeptów komuny, przebranych w klerykalne habity — a niech nikt nie głośuje na anatomów, dzielących społeczeństwo polskie na łyków i szlachtę, szczujących jednych na drugich, łowiących ryby w mętach.

Narodowość i kościół równo są prześladowane, równie więc troskliwie bronionemi być winny. Pomijając zaćm zarówno kosmopolitów jak ateuszów, wybierajmy takich posłów, którzyby, broniąc obu zagrożonych punktów, nie poświęcali jednego na korzyść drugiego. Pamiętajmy również, iż bądź co bądź położenie kościoła jest lepsze. Ma on autonomję, ma głowę widomą w Rzymie i jej zastępcę w Poznaniu — ma zaćm oficjalnych obrońców i środki pomocy w całym świecie, kościół bowiem katolicki nie jest polski, lecz powszechny. Narodowość zaś w nas tylko jednych spoczywa, krom naszej miłości nie ma ani naczelnika ani kaźdej przyrodzonej podpory w świecie. Nasza tylko gorliwość, nasza niezłomna stałość bronić jej i podtrzymać ją może. Kościoła „nie przemogą i bramy piekielne“, nas zmogły bagnety a dobić mogą systematycznie przeprowadzane wynaradawiające dekreta władzy istniejącej na ziemi. Poświęcić narodowość dla kościelnych koncesji byłoby — mówimy to wręcz — zbrodnią. Strzeźmy się tedy klerykalnych zapaleńców, którzyby ją popełnić byli zdolni — strzeźmy się wszystkich, których ojczyzna nie w Polsce lecz w Rzymie.

Wyłożywszy powyższemi słowy zapatrywania nasze na sprawę mających się odbyć wyborów, radziłyśmy doczekali się spokojnego i zgodnego ich przebiegu. Nie potrzeba ani poświęceń ani apelacji do obywatelskiej cnoty, ale tylko chwili spokojnego zastanowienia się i wejścia w samego siebie, aby kaźden wyborca spełnił swój obowiązek po ludzku, według polskiego sumienia — aby nie pozwolił brać się warchołom za narzędzie do gorszących lub śmiesznych scen, jakie tu i owdzie miały miejsce podczas przedwyborczych zebrań. Niech sobie zresztą zwycięża którekolwiek z naszych sztucznych stronnictw, my pragniemy, aby zwyciężył interes narodowy Polski — co daj Boże!

ODWROTNA STRONA MEDALU.

Kartka z życia

przez

Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Po jego odejściu Zakucki zaklął ze złości:
— Żebyś się w trąbkę zwinął, przeklęty, uparty szwabie! A to się zawzięła bestja... i co ja teraz pocznę, nieszczęśliwy?

Na drugą wizytę doktora Putziga przy okienku potrzeba było czekać aż do następnego dnia.

Pan Kwiryn zdobył się na cierpliwość i czekał. Jeść mu dawano dosyć dobrze, na kuchnię nie miał potrzeby się żalić, ale nudziło mu się wściekle, szczególnie bez ulubionej tabaki. Nie było jednakże rady.

Nazajutrz koło południa głowa doktora Putziga ukazała się znów w okienku.

— Gut Morgen, mein Herr, dzień dobry, panie dobrodzieju... wie geht's?...

— Zacznę ze szwabem z innej beczki, — pomyślał pan Kwiryn.

I odpowiedział uprzejmie na powitanie lekarza ale dodał:

— Wszelako, wierzaj mi pan, że ja panu dobrze życzę.

— O! ja byłem wiedzieć, że mi pan będzie dobrze życzyć, — odpowiedział lekarz.

— To też radzę panu pójść do jakiego prawnika i zapytać się, co to bywa z takimi doktorami, którzy dla dogodzenia czyimkolwiek widokom zamykają zdrowych i przytomnych ludzi i świadczą fałszywie, że są warjatami... Radzę panu, zapytaj się... Bierziesz mnie pan za obłąkanego dla tego, że ci tak ktoś powiedział, że ci może za to zapłacić... a czy wiesz dobrze, kto ja jestem?... czy ci doręczono moje papiery osobiste, czy ci powiedziano, gdzie przedtém mieszkalem, jakie są dowody, że już przedtém cierpiałem obłąkanie, kto mnie leczył?... Podjąłeś się mojej kuracji, a czyś się spytał o przyczynę mojej mniemanéj choroby?... Zapytaj się prawnika, powtarzam, a on ci powie, czy postępujesz prawnie... nie mówię nic o sumieniu, bo od tego od dawna słyszeć musisz, że postępowanie twoje jest nieuczciwe... Idź do prawnika!...

Słowa te zupełnie inne zrobiły wrażenie na doktore Putzigu jak argumenta dnia poprzedniego. Tym razem nie mógł nie przyznać, że mniemany warjat mówi rozumnie. W istocie papierów przyrzeczonych nie przynoszono i nikt nie przychodził umówić się z nim o płacę za pensjonarza. Gdyby się policja wdała w tę sprawę i zapytała, na jakiej zasadzie ten pensjonarz siedzi pod kluczem, a nawet, co on jest za jeden, doktor Putzig nie wiedziałby co odpowiedzieć.

Nie chciał jednakże od razu uwierzyć w rozum pana Kwiryna.

— Warjaci miewają lucida intervalla, — powiedział sobie.

— Idź do prawnika! doktorze, czegoż stoisz? — powtórzył jeszcze raz pan Kwiryn.

— Ja, ja, ich bin Ophelie und ich werde in's Kloster gehen, — rzekł z uśmiechem, pilnie studując wrażenie, jakie te słowa zrobią na mniemanym szaleńcu.

— Pokazuje się, że pan znasz Szekspira a nie znasz swoich obowiązków, — odpowiedział spokojnie pan Kwiryn, — jak cię co niemiłego spotka, pamiętaj, że cię ostrzegalem.

— Ja wohl, ja wohl, mein Herr, — uśmiechnął się lekarz, — ja panu będzie bardzo dziękowałem za to, co mnie pan był ostrzegać.

Było to tylko nadrabianie miną. Doktor Putzig uśmiechał się ale się zaniepokoił na prawdę. Odszedł od okienka i pospieszył do żony, przed którą wyznał otwarcie, że mu się zdaje, iż ten mniemany pacjent nie jest zupełnym warjatem. Zapytał jęj o radę, czy go nie wypada zaraz wypuścić, wyegzaminowawszy jeszcze dokładniej.

Żona zaoponowała przeciw temu najuroczyściej. Miała z mężem długą konferencję, w której doktor Putzig zaklinał się i przysięgał, że są rzeczy, których się robić nie godzi, małżonka nazywała go dumm i Narr, plakała i tą argumentacją oraz łzami wymogła na nim przyrzeczenie, iż postąpi według jęj woli.

VIII.

Tegoż samego dnia jeszcze doktor Putzig pospieszył do pana Maurycego Grzmockiego i zbladł trochę, gdy mu powiedziano, że pan wyjechał na wieś. Przeważenie jego powiększyło się jeszcze bardziej, gdy taką samą odpowiedź usłyszał w domu hrabiny z domu Grzmockiej i u młodego pana Grzmockiego, męża baronówny.

Nie śmiał z tą odpowiedzią powracać do żony, obawiając się jęj zmartwić i usłyszeć ponownie, że jest Narr i dumm, powrócił więc raz jeszcze do pana Grzmockiego dopytywać się, kiedy wróci, potem także samo badanie odbył ze służbą hrabiny z domu Grzmockiej i małżonka baronówny.

We wszystkich trzech domach powiedziano mu, że państwo wyjechali na wieś na imieniny pana barona, który był teściem młodego pana Grzmockiego, ale nazajutrz albo za parę dni powrócą.

To uspokoiło szanownego Eskulapa, którego małżonka zapewniła, że nic nie szkodzi, jeżeli parę dni na ich powrót poczeka.

Nie mógł się jednak zdecydować doktor Putzig na odwiedzanie przez ten czas swego pacjenta. Czuł, że nie miałby odwagi patrzeć mu w oczy, że jest winowajcą względem niego. W sumieniu jego toczyła się ciężka walka, z której byłby wyszedł zwycięzko, gdyby go żona nie nazywała Narr und dumm.

Zakuckiemu zatem przynoszono jadło trzy razy na dzień, obfite i pożywne, jakby wiedziano, że mu djeta nie potrzebna. Dano mu doskonałej, konkretnej tabaki, jakby się spostrzeżono, że abstrakcja nie wystarczy dla nosa. Doktor Putzig wymógł nawet na małżonce, że do obiadu dołączano butelkę wina, — chciał tém winem chociaż w części opłacić krzywdę, jaką nieznanemu człowiekowi wyrządził. Służący, który przynosił śniadania, obiady i wieczerze, miał jednak wyraźnie zabronione wdawanie się w jakiegokolwiek rozmowy z obłąkanym, bo stawiał tylko to, co przynosił, zabierał naczynia, które mu oddawał pan Kwiryn, ale na żadne jego pytania nie odpowiadał ani słowa.

Wino rozgrzało fantazję pana Kwiryna.

— Cóż ja tu będę siedział, — rzekł do siebie po wypiciu pierwszej butelki, — co będę siedział i tuczył się ich jadłem jak indyk przeznaczony na zarznięcie?... Kraty w oknie prawda są grube a ja nie Herkules, wszelako, kto ma głowę na karku, powinien sobie zawsze dać radę — ucieknę!

Takie powziawszy postanowienie, zaczął rozmyślać nad środkami wykonania go.

Z ostrych narzędzi miał przy sobie tylko mały scyzoryk. Nie odbierano mu go, bo doktor Putzig widząc, że mu warjata przywożą z taką ostentacją i pod tak ścisłym dozorem, był pewnym, że dopilnowano, aby nie miał przy sobie czegoś niebezpiecznego.

O wycięciu jednak kraty małym nożykiem ani marzyć nie było można.

Pozostawały tylko drzwi prowadzące do pierwszego pokoju, z którego podawano mu jadło przez zrobione w tym celu okienko. W pokoju tym nikt nie bywał i krat w oknach nie było, a okna wychodziły na ogrody jak od kaźni pana Kwiryna. W ogrodzie należącym do domu doktora Putziga zwykle także nikt w godzinach popołudniowych nie bywał.

Zakucki, jak wiemy, był bardzo małego wzrostu i nadzwyczaj drobnej budowy. Gdyby nie miał scyzoryka, nie mógłby jednak ani marzyć, że się przez to okienko wydostanie.

Scyzoryk czynił ucieczkę zupełnie prawdopodobną.

Po całodzienną i całonocną usilną pracę pan Kwiryn wypiłował drzwi do koła okienka tak głęboko, że był już pewnym, iż za popchnięciem okienka wraz z osadą wyleci.

Przyniesiono mu jeszcze jeden obiad i jeszcze jedną butelkę wina. Pokrzepił siły i zabrał się do wykonania swego planu.

W chwilę potem okienko było już wyłamane a nasz bohater, dzięki małości swjej figury, znajdował się już w pierwszym pokoju z sznurem, który sobie ukręcił z prześcieradła.

Otworzył okno, przekonał się, że w ogrodzie nikogo nie ma, przymocował sznur do ramy okiennej, przy jego pomocy dostał się na jakieś drzewo, po którym bardzo zwinnie zeszedł na dół.

Chyłkiem, pomiędzy krzakami dostał się do płotu, który oddzielał ten ogród od sąsiedniego, przeszedł przez ten płot i odetchnął swobodnie, gdy się znalazł na gruncie, którego mieszkańcy mieli prawo posiadać wszystkie klepki i używać swobodnego ruchu po powierzchni ziemi.

Mógł być wziętym za złodzieja owoców, mniéj się jednak tego podejrzenia obawiał niż posądzenia o brak zdrowych zmysłów.

Nie znał zupełnie drogi, nie wiedział, w której części miasta się znajduje, szedł więc dalej na oślep ogrodami, pewny, że którędyś przecież wydostanie się na zupełną swobodę.

Przekradł się tak jeszcze przez dwa czy trzy ogrody i przesadził tyleż parkanów, nie spotkawszy nikogo. W następnym dopiero ogrodzie usłyszał w niewielkiem oddaleniu jakieś głosy.

Usiadł na ziemi, ażeby go widać nie było i ażeby miał czas namyślić się, jak ma postąpić...

Rozmowa tymczasem dobiegała dość wyraźnie do jego uszu.

Pierwszy głos, jaki dosłyszał, był męzki. Zakuckiemu zdawało się, że zna ten głos, nie mógł jednak na żaden sposób przypomnieć sobie zgåd.

Głos ten przemawiał z namiętnością i zapalem. Treść jego słów stanowiły ogniste przysięgi miłosne.

— Oh! oh! — szepnął pan Kwiryn, — jakaś romansowa schadzka. No, no... wszelako nigdybym się był nie spodziewał, że mnie takie awantury czekają na stare lata! Ha! widać, co człowiekowi przeznaczono, to go nie minie... nie miewałem romansów za młodu, muszę za to słuchać cudzych na starość.

Nie miał zamiaru podsłuchiwania, ale słuchał. Dyskretném odejściem mógłby się zdradzić i spłoszyć zakochaną parę. Nie chciał jęj robić tęg przykrości, był wyrozumiałym na słabości natury ludzkiej i nie myślał odsądzać młodości od przywilejów, jakie wiosnie życia służą...

— Od chwili, jak cię poznałem, kocham cię, — mówił głos męzki za krzakami, — nie mam prawa żądać od ciebie wzajemności, boś mnie nie poznała jeszcze... ale ci przysięgam, aniele, że bez ciebie nie ma dla mnie przyszłości, nadziei, życia ani szczęścia na świecie...

Daléj zaklinał niewidzialną dla pana Kwiryna a milczącą wybrankę swoją, aby mu odpowiedziała jedném słówkiem nadziei, cieniem przyrzeczenia, dodając, że to słówko będzie dla niego niebem, zbawieniem, wszystkiém, czego pragnąć i czego pożądać może.

Panu Kwirynowi ciągle się wydawało, że ten głos zna, próżno jednakże ponawiał wysilenia, ażeby sobie przypomnieć, gdzie go mógł słyszeć i kiedy.

Nie słyhać było, co odpowiedział głos kobięcy, zapewne odpowiedź była tylko szeptem dla ucha kochanka jedynie dosłyszalnym i zrozumiałym.

Jaką jednakże była ta odpowiedź, mylnie się domyślać nie było można, bo po niéj nastąpił okrzyk męzczyzny, nie dający się powtórzyć głoskami zwyczajnego abecadła, ale przejęty takim szczęściem i upojeniem, że wątpliwości być nie mogło. Potém nastąpił ruch jakby upadnięcia na kolana i odgłos jakby całowania rączek... potém cisza i znów słowa:

— A więc ty mnie kochasz, aniele!... Nie! ja nie wierzę swojemu szczęściu... znasz mnie zaledwie od kilku dni...

— Ale cię poznała lepiéj, — odpowiedziała kobięta, — niż gdybym cię znała od dawna... czyżeś nie ty jeden nam został wówczas, gdy nas opuścili wszyscy... nawet jedyny nasz przyjaciel... Ale i to było mi niepożrebne... O! ja już wtedy, gdy po raz pierwszy otworzyła oczy z omdlenia i pierwszego ujrzałam ciebie... już wtedy powiedziałam sobie, że będę twoją albo nie będę niczyją... Serce twoje poznałam już wtedy, gdyś się tak delikatnie ofiarował na chrzestnego ojca Wacławka...

Gdyby to było prawdą, że włosy wstają czasem na głowie człowieka, zapewne krótko strzyżona czuprynka pana Kwiryna podniosłaby się była na te słowa i zrzuciła mu z głowy jego barankiem obszywaną rogatywkę.

Ten głos był mu znanym, zagadka przestała być dla niego zagadką. Mówiącą była kuzynka Żalickich Franusia, a owym romansowym męczyzną doktor, którego sam pan Kwiryn do niéj sprowadził.

W pierwszej chwili chciał się zerwać i złapać na gorącym uczynku młodą parę, zgromić młodego medyka, że swego stanowiska nadużył, wystawić mu, jak pięknie rozpoczyna szlachetny zawód lekarza, bałamucąc niedoświadczoną dziewczynę, do której został wezwany dla podania jęj lekarskiej pomocy.

Powstrzymał się jednakże od tego kroku. Opamiętał się na czas, że tym sposobem mógłby tylko skompromitować i zniesławić na zawsze biedną Franie, którą kochał ojcowskiem prawie uczuciem, a cóżby zrobił młodzikowi, który z łatwego zwycięztwa nad jęj niedoświadczeniem i ufnością korzystał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do uśpionej.

Straszny jest widok matki drogiéj,
Którą za życia
Wtracił do grobu tyran srogi,
Broniąc odbicia.

Słaby jój głos z grobu się wzbija:
Dzieci ratujcie!
Echo szatańskie się odbija:
Dzieci tańczcie!

Dzieci się bawią w karty, konie,
Psy i sportsmaństwo,
Myśli, co w świata czczościach tonie —
Wstrętne męczeństwo.

Garstka li synów w niemym bólu
Matce wtóruje,
Radą i pracą w domu i polu
Odwet gotuje.

Anioł nad matką się zlitował,
Z nieba podążył —
Twarz jój w modlitwę ucałował,
W sen ją pograżył.

Śpij matko Lachów, duszo hoża,
Śnij o cnych synach;
Zbudzi cię ze snu wola Boża
W dzielnych ich czynach.

Zadania filozofii w naszych czasach

napisał

Dr. Józef Descours de Tournoy.

(Dalszy ciąg.)

Salviati: Jeżeli rzecz jaka może być dokonana tylko przy wielkiej usilności lub w długim przeciągu czasu, okoliczność ta nie czyni ją niemożliwą i myślę, że i wam także nie będzie bardzo łatwo dokonać podziału tej linii na tysiąc części, tém trudniej byłoby wam podzielić ją na 937 lub inną jakąś liczbę pierwotną. Lecz gdybym wam ją wykazał jako łatwą, jak inni wskazują wam, że jest ją łatwo podzielić na czterdzieści, czybyście przyznali ją wtedy?

Simplicio: Znajduję przyjemność w tym waszym sposobie traktowania przedmiotów, jak to często wam się zdarza w sposób lekki i przystępny. Co do waszego pytania odpowiem wam, że łatwość podziału byłaby argumentem dostatecznym, gdyby nie było trudniej podzielić ją w nieskończoną ilość punktów aniżeli w tysiąc części.

Salviati: Powiem wam teraz rzecz, która was zdziwi co do tego podziału linii na nieskończoną ilość punktów. Trzymając się porządku, według którego chcielibyście go dzielić na 40, 60 lub 100 części lub na dwie, cztery itd., twierdzę, że ktoby go chciał według niego dzielić i tym sposobem dochodzić do nieskończonej ilości punktów, omyliłby się niesłychanie, gdyż tym sposobem nie doszedłby nigdy do celu lecz raczejby się od niego oddalił. Mówiliśmy już o tém, że przy ilości nieskończonej musiałoby być tyle w kwadracie i sześciannie co i w pierwiastku, i jedne i drugie musiałoby być równe pierwiastkowi, gdyż ten już obejmuje wszystkie liczby, i widzieliśmy także, że im wyższe były liczby, tém rzadsze były kwadraty a tém bardziej sześcianny, tém samém zaś im wyższa będzie liczba, tém bardziej się oddalamy od nieskończoności; tym sposobem wypada, że cofając się raczej znajdziemy ilość nieskończoną (gdyż postępując, od niej się oddalamy) i jeżeli jest jaka liczba nieskończona, może nią być tylko jedność. I rzeczywiście, tylko w jedności znajduję wszystkie własności liczby nieskończonej, to jest jedność zawiera w sobie tyle kwadratów, ile sześciannów i liczb innych potęg.

Simplicio: Nie rozumiem zupełnie, jak stoi cała ta sprawa.

Salviati: Sprawa ta żadnej nie przedstawia trudności, gdyż jedność jest kwadratem i sześciannem i każdą inną potęgą a nie ma żadnej własności ani kwadrat ani sześciann, którejby jedność nie odpowiadała. Naprzykład własnością dwóch kwadratów jest, że mają

między sobą jedną liczbę proporcjonalną. Weźcie jakąkolwiek ilość kwadratową za jeden wyraz a jedność za drugi, a zawsze znajdziecie liczbę średnią proporcjonalną. Niech będą dwie liczby kwadratowe 4 i 9 a będziecie mieli pomiędzy jednością i dziewięcią liczbę proporcjonalną 3, a między 4 i jednością 2, tak jak pomiędzy 4 i 9, 6. Własnością sześciannów jest, że mają między sobą dwie liczby proporcjonalne. Weźcie 8 i 27, znajdziecie między niemi 12 i 18, a pomiędzy jednością i 8 znajdziecie 2 i 4, pomiędzy jednością i 27 znajdziecie 3 i 9. Tym sposobem możemy powiedzieć, że jedna jest tylko liczba nieskończona a tą jest jedność. I są to cuda, które przechodzą zdolność naszej wyobraźni i które powinnyby nam wskazywać, jak się mylić musi każdy, kto chce mówić o nieskończoności w ten sam sposób, w jaki mówi o rzeczach skończonych, gdyż te pojęcia nie między sobą nie mają wspólnego!

Tym wykrzyknikiem kończymy djalóg Galileusza, choć nie podzielamy zdziwienia, które go wywołało, gdyż rezultat jest bardzo naturalnym i każdemu się takim wyda po chwili zastanowienia.

W matematyce pojęcia jedności i nieskończoności mają dwa znaczenia, z których jedno je upodobnia zupełnie. Jedność jako termin analityczny jest warunkiem mnogości, ale jedność jako pojęcie syntetyczne obejmuje swe części i wyklucza mnogość. Każda ilość może być pomyślana jako jedność syntetyczna i na tej właściwości opiera się arytmetyka, która każdą dziesiątkę uważa za jedność.

Nieskończoność znowu jako termin analityczny znaczy ilość, która przewyższa każdą ilość oznaczoną, a jako termin syntetyczny musi obejmować wszystkie ilości, gdyż nie obejmując jakiej, staje się skończoną a tém samém wyklucza ideę mnogości. Widzimy zatem, że termin syntetyczny jedności zupełnie ją upodobnia do nieskończoności, i zobaczymy zaraz, że pod tym tylko względem jedność, mając własności każdej potęgi, jest podobną do nieskończoności. Weźmy metr złożony ze stu centymetrów. Jeżeli go podniesiemy do kwadratu, będziemy mieli jeden metr kwadratowy i 10,000 centymetrów czyli jedność jako termin syntetyczny zostaje niezmienną a jedność jako termin analityczny przechodzi zupełnie inne fazy. Jeżeli podniosę metr do sześciannu, jedność metra się nie zmieni, a jedności centymetra ze 100 dojdą do 1,000,000, widzimy zatem, że

tylko jedność w syntetycznym znaczeniu pozostaje niezmienną, jak nieskończoność, która z natury swojej musi być najwyższą syntezą.

Tak zatem o nieskończoności wiedzieć możemy dwie rzeczy, „naprzód, że przewyższa każdą oznaczoną ilość i że może być pomyślaną tylko jako bezwzględna jedność. Tym sposobem w zdaniu: poznaję nieskończoność musi być kontradycja, z której wyjść inaczej nie można, jak tylko odejmując jednemu tylko lub drugiemu terminowi znaczenie bezwzględnie realne i właściwie nie można go powiedzieć, gdyż poznajemy tylko w formie czasu i miejsca i po za niemi nie ma poznania, gdyż poznanie znaczy wyróżnianie a zatem i mnogość.

Chwila i punkt są dla nas*) jakby końcami dwóch nożów, któremi rozum nasz wykrawa sobie z bezwzględnie realnej nieskończoności cząstkę, jaką nam słabe nasze siły umysłowe poznać pozwalają, ale wykrawanie to jest naszą operacją. Operacja ta musi nam stworzyć iluzję mnogości, której rzeczywistość nie bezwzględnie nie odpowiada. Zdanie sobie sprawy z tej operacji prowadzić nas musi do rezultatu, że jesteśmy cząstką wszechbytu, różniącą się od niego o tyle tylko, o ile go poznaje. Poznajemy tę cząstkę wszechbytu, którą organizm nasz przedstawia tak samo, jak poznajemy i inne przedmioty i ztąd wypadać musi ostateczna prawda metafizyczna, która jest zarazem i pierwszą prawdą etyczną: Jesteś przedmiotem pomiędzy przedmiotami i różnisz się od nich tylko, o ile je poznajesz.

Tym sposobem metafizyka wypływająca z prawd odkrytych przez Kanta staje się bardzo prostą. Poznajemy świat zewnętrzny za pomocą zmysłów, to jest przez to, że zmysły zamieniają go w swoje wrażenia a rozum za pośrednictwem prawa przyczynowości je porządkuje, tak że nawet nie możemy sobie wyobrazić innego sposobu poznania, przyczem wiemy tylko, że to, co pomiędzy przedmiotami stanowi różnicę, jest operacją naszego rozumu i naszych zmysłów. Widzieliśmy już, że metafizyka ta przy swej prostocie odpowiada wymaganiom każdej metafizyki, to jest daje zarazem podstawy dla etyki, znosi zatem zasadniczy dualizm pomiędzy rozumem teoretycznym a rozumem praktycznym, który tym sposobem staje się tylko klasyfikacją naukową a nie żadną różnicą przedmiotową.

Zanim się zajmiemy zadaniami etyki, powrócić jeszcze musimy do filozofii teoretycznej.

Skoro świat znać możemy tylko działaniem rozumu i zmysłów, nie możemy więc mieć innych o nim wiadomości jak te, które nam dają jeden lub drugie. Działanie rozumu z pomocą pojęcia punktu i chwili tworzy nam matematykę**), działanie zmysłów daje nam doświadczenie, więc nie możemy mieć innych wiadomości jak te, które nam dają matematyka i doświadczenie; filozofia zaś staje się wyłącznie krytyką a zatem i metodą, ale to jej stanowisku nadaje rodzaj supremacji nad innymi naukami.

Naprzód rozum porządkując zjawiska tworzy każdą naukę, a przeto badanie sposobu według którego porządkować musi zjawiska w danej nauce, nazywa się filozofją tej nauki i przez to każda nauka o metodę pytać się musi filozofji; oprócz tego jest jeszcze nauka, która ma bezpośrednio powinowactwo z filozofją. Filozofja bada operacje umysłowe, przewodniczące przy zetknięciu się subiekty z obiektem, które wydać mogą poznanie, przyczem naturalnie głównie zajmuje się umysłem ludzkim; otóż ostatni stanowi przedmiot samodzielnej nauki pozytywnej, jak każda inna, która się nazywa psychologią. Nauka ta zajmuje się działalnością umysłową człowieka z zupełnie innego stanowiska. Filozofja

*) Ex nihilo nihil.

**) Cudownie to wyraził Galileusz w swoim „Wstępie do doświadczeń fizycznych.“

bada jego racjonalność a psychologii wcale o to nawet nie chodzi, owszem najciekawszym dla niej to, co w umyśle ludzkim jest nieracjonalnego. A że wiele ma w sobie nieracjonalnego, przekonywać nas może nedorzeczone działanie asocjacji wyobrażeń. Pomimo to psychologia znajduje się w bezpośrednim związku z filozofją i rzuca niesłychane światło na jej zadania. Twierdząc, że psychologia jest nauką pozytywną, nie mieliśmy zamiaru twierdzić, jakoby jej zadaniem były poszukiwania w teatrach anatomicznych, gdzie też właściwie mieszka dusza, ale chcieliśmy tylko powiedzieć, że zbiór wiadomości odnoszących się do funkcji duchowych człowieka musi być czerpanym z doświadczenia. Teatr anatomiczny przedstawia zapewne ważne materiały a nawet można powiedzieć, że fizjologia zmysłów jest już psychologją, ale nie obejmuje ona jeszcze wszystkiego i objąć nigdy nie może, gdyż wiwisekcja jest w tej materji niepodobieństwem; pomimo to możemy studjować myśl, uczucia i wolę ludzką w ich objawach to jest w czynach ludzkich.

Studja psychologiczne, opierające się na badaniu tak zwanego zmysłu wewnętrznego, nie mogą rzeczywiście dojść nigdy do bardzo wielkich rezultatów; dla właściwego zmysłu wewnętrznego istnieje tylko jedna formuła bólu i rozkoszy, która nietylko nie może objąć wszystkich zjawisk psychicznych, ale je obejmuje w sposób, któremu brakować musi wszelkiego naukowego znaczenia. Obserwacje nad zmysłem wewnętrznym są materiałem dla psychologa, jak autobiografia może być źródłem dla historyka, to jest, musi być poprzednio obrabioną naukowo; ale podobne materiały znaleźć można w każdym uobjektywnieniu się duchowych funkcji człowieka.

Myśl, uczucie i wola ludzka uobjektywniają się w każdym przedmiocie, którego się dotknie ich działalność.

Myśl i sposób myślenia uobjektywnia się przede wszystkim w dźwiękach i wydaje język i dla tego językoznawstwo przedstawia niesłychanie ważne materiały dla psychologii, chociaż dopiero w ostatnich czasach obrabianiem zostało w tym kierunku zasługą głównie Steinthala i Lazarusa. Pod tym względem językoznawstwo dostarcza także i filozofji ważnych bardzo materiałów, gdyż myśl, wcielając się w dźwięki, identyfikuje się prawie z językiem a przez to historia wyrazu staje się najczęściej analizą pojęcia. Dla tego też trzeba być niesłuchanie ogólnym w tworzeniu nowych wyrazów, gdyż w nowych wyrazach bez historii nie dostaje kryterjum dla zbadania, czy pojęcie ma rzeczywistą przyczynę bytu. Innowacja językowa jest najwyższym szczytem zrozumiałości, gdyż wtedy indywiduum się stawia jako twórciel pojęcia, ale za to przyjęcie przez naród wyrazów nowych, utworzonych przez jakiegoś myśliciela, jest przyznaniem, że naród myślał w jego głowie, a tém samem najpiękniejszym bo żywym pomnikiem jego zasługi i bezpośrednio unieśmiertelnieniem jego myśli. Tym sposobem żaden zapewne myśliciel polski nie ma tak ogólnego uznania jak Jędrzej Śniadecki.

Ale myśl ludzka nie w same się tylko wciela wdzięki, ale udziela się wszystkiemu, czego się dotknie. Każdy utwór pracy ludzkiej, oprócz swoich składowych żywiołów materialnych, mieści w sobie i żywioły duchowe, przewodniczące jego uformowaniu. Te obiektywne wcielania się myśli w materję dają się nawet klasyfikować podobnie jak i przedmioty samej myśli.

Przedmiotem myśli może być wyobrażenie konkretne lub pojęcie oderwane, rozszerzające się z pomocą pewnych myślowych operacji, które też do myśli należą. Te same odcienia widzimy i w przedmiotach, w których widzimy myśl ludzką, skryzalizowaną przez pracę.

Podobne znaczenie jak konkretne wyobrażenia, które są zaledwie co uporządkowaniami zmysłowemi wrażeniami, danymi przez świat zewnętrzny, mają płody natury surowe, zebrane przez pracę; w jednych i drugich prze-

waża jeszcze świat materialny, jedne i drugie używają się do dalszych duchowych operacji. Wyrób pracy, fabrykat ma zupełne znaczenie pojęcia, które jedynie może być przedmiotem naukowego badania, a sposób, w jaki fabrykat został utworzony, odpowiada doskonale operacjom logicznym i metodom naukowym. Rzeczywiście narzędzia i maszyny są całym szeregiem sylogizmów, dedukcji i indukcji, czasem systemem całej nauki, wcielonym w drzewo i żelazo.

I nie tylko ze względu na swoje powstanie narzędzia lub maszyny są wcielaniem sylogizmu ale i ze względu na swoje użycie.

Podobnie jak sylogizm służył do odkrycia nieznannej prawdy ukrytej w dwóch pierwszych jego częściach, tak narzędzie służy do dalszego wcielania myśli w świat materialny. Uzupełnieniem sylogizmu będzie na przykład każde użycie noża. Ciało cienkie kraje ciało grubsze, nóż jest ciało cienkie i twardsze od drzewa, zatem kraje drzewo. Tym sposobem każde użycie narzędzia jest wnioskiem sylogizmu zaczętego może na kilka tysięcy lat przed naszym urodzeniem i podobnie narzędzie służy do dalszej produkcji jak sylogizm do odkrycia prawdy, którąby innym sposobem trudno odkryć było.

Co do maszyn, to te mają dla produkcji to samo zupełnie znaczenie, co dobra krytyka i metoda naukowa ma dla wiedzy. Tak samo jak metoda Galileusza stworzyła wiedzę nowoczesną, tak samo i maszyny zmieniają postać ziemi.

Naród też bogaty z natury, to jest w plody surowe, można porównać do człowieka, który nagromadził masę wiadomości, nie umiając ich nigdy uporządkować; naród zaś używający wiele maszyn do człowieka, który,

porządkując każdą myśl, każde spostrzeżenie według stosownie użytej metody, przychodzi do odkryć naukowych.

Nie zastanawiano się nigdy nad psychicznym znaczeniem produkcji ekonomicznej dla tego zapewne powodu, że myśl rozważną studjować można w sposób bezpośredni, gdyż rozmyślanie jej nie płoszy jak uczucie i dla tego prawa sylogizmu lub odkrywania podobieństw mogły być poznane i za pośrednictwem metody subiektywnej obserwacji.

Inaczej się ma z uczuciem, gdyż w chwilach najsilniejszych jego wybuchów rozmyślać nad niem byłoby niepodobieństwem. Są wprawdzie wyższe psychiczne charaktery, u których rozmyśl może istnieć razem z uczuciem, jak na przykład tragicy greccy, Shakespeare, Mickiewicz i w ogóle poeci i artyści obiektywni; ale rozmyśl ich wystarcza zaledwie na odtworzenie uczucia, nigdy jednak nie może służyć do jego rozbioru psychologicznego. Możemy je zatem studjować tylko na innych lub na jego wcieleniach, z których najgłówniejszym jest bez zaprzeczenia sztuka. Utwory sztuki mają to samo psychologiczne znaczenie w życiu duchowym społeczeństwa, co dobre przykłady w życiu realnym. Jak narzędzie i maszyna jako sylogizmy i metody naukowe służą do dalszej materialno-duchowej pracy, tak samo w arcydziełach artystycznych uczucie tworzącego artysty i poety tworzy w nas lub rozwija wyraz uczucia.

Chociaż głównym źródłem do poznania obiektywnego uczucia jest sztuka, wciela się ono i w innego rodzaju działalność ludzką, to jest w instytucjach politycznych i religijnych, mianowicie zaś dobroczynnych.

(Dokończenie nastąpi).

Wycieczka do Morskiego Oka

przez **Zawrat**.

Napisał

Walery Eljasz.

(Ciąg dalszy).

Ściany trzy tego niby szałasus ustermane są z głazów wraz z gałęziami kosodrzewu, dach tworzy kilka desek w poprzek położonych, kamieniami przyciśniętych, czwartej ściany od przodu nie ma, ta więc stanowi wchód, wewnątrz zaś reszta miejsca zbywającego od ogniska i od sprzętów pasterskich służy do pomieszczenia całej osady szałasowej. Niechlujstwo tu kwitnie a pan taki, jaki kram. Baca i juhasi są ze wsi Białki, słynni z łakomstwa, chciwości i zdzierstwa, a o siódmém przykazaniu Bożem nie lubią pamiętać. Na dobytek trafiliśmy na czas, kiedy było spędzone koczowało koło szałasus a wszyscy juhasi koło ognia, ściśle mówiąc, natłoczeni, zajmowali cały ów zlepek. Brnąc po gnoju wśród stada owiec, dobiegliśmy zmoczeni i zziębnięci do mniemanaj przystani; na nasze pozdrowienie „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, odrzekli górale „na wieki“, ale mierząc nas okiem od stóp do głów jak towar wystawiony na sprzedaż, zdradzali swoje usposobienie. Znać, że z powierzchowności nie obiecywaliśmy im żadnego obłowu, bo nawet nie poprosili nas do swęj szopy, widząc nasze smutne z powodu słoty położenie, ani z żętycą się nie ofiarowali. Minęliśmy ze wstępem to siedlisko brudu i chciwości, a broniąc się toporkami psom, co się na nas z zaciękością rzucały, ruszyliśmy dalej. Kilka razy już tędy przechodziłem i zawsze się w obec podróznich szałasniczy tutejsi w jedném i tęp samym świetle pokazywali. Na naszą pociechę deszcz ustawał, po-

częło się rozjaśniać, lecz chłodno nam było i głodno, do domu daleko a gdy do tego i mokro nam dojmowało, upadliśmy trochę na duchu; nawet Wali humoru zabrakło. Przed sobą nie mieliśmy nic pocieszającego, bo po takich tarapatach nie wiedzieliśmy, jak nam przyjdzie noc przepędzić koło Morskiego Oka.

Widok wspaniałego, największego w całych Tatrach Stawu Wielkiego, 60 morg. 840 sąż. kwadr. (5,339') zajął tymczasem naszą uwagę, chmury wiatr gdzieś przepędził, a nim obeszlismy wśród kosodrzewiny jeziora brzeg północny, słońce zaświeciło. Po kładce przebyliśmy potok z Wielkiego Stawu płynący, poczem koło Stawku Pośredniego, 716 sąż. kwadr., brzegiem Przedniego Stawu, 13 morg. 595 sąż. kwadr., wywiódł nas Wala na skałę, z kąd widok wprowadził nas w zachwyt. Zapomnieliśmy o zmoknieniu, o zimnie a podziwialiśmy pyszny wodospad Siklawę, dolinę Roztokę i olbrzymiego Wołoszyna (6,894'), co się w całej okazałości wychyla z doliny. Obslizgła skała kazała nam się strzedz wychodzenia na jej brzeg, przez to otchłań pod nami wydała się nam straszniejszą niż była w istocie, skoro bokiem jej ludzie chodzić mogą. Wodospad przedstawił nam się jak srebrna wstęga snująca się po skale. Tym razem tęp piękniejszy niż zwykle, bo po deszczu wzbrazy toczył w szalonym pędzie znacznieśszą ilość wody, która spadając w przepaść z wysokości 204 stóp, spieniona, parą otoczona, wypływa od dna spadu tworząc

potok wśród dzikiej doliny, płynący prawie ciągle po progach, a śnieżna barwa jego odznacza go od skał i zarośli. Po nad Sikławą widać od północy małą dolinę Buczynową (5,468'), powyżej Turnie Buczynowe, dalej Wołoszyn wspaniale piętrzący się po nad Róztoką, dołem lesisty, wyżej stromy w kosodrzew a u góry nagimi odartymi sterczący turniami. Najniższą przełęczkę między nim a Buczynowami Turniami tworzy mała równinka zwana Krzyżnem (6,846'), z kąd jest cudownie piękny widok na Tatry. Opowiadał nam Wala różne zdarzenia z polowań na kozice i niedźwiedzie we Wołoszynie, które sobie tę górę upodobały. Wołoszyn rozłożysty, rozgałęziony w różne strony, dołem dziko zarośnięty, gdzie się człowiekowi z trudem przedzierać przychodzi, więc też zwierzętom łatwiej się tu ukryć. Pewnego razu niedźwiedź mocno raniony we Wołoszynie zbiegł strzelcom, szli za śladem krwi a odnaleźć go na żaden sposób nie zdołali, bo się miał gdzie schronić bezpiecznie. Podróżni, zdążający Róztoką w górę do Pięciu Stawów koło Siklawy, przedzierają się z trudem przez tę dziką dolinę.

Sikława jest w całych Tatrach najznakomitszym wodospadem, a tylko mała stósunkowo ilość wody spadającej przeszkadza jej mierzyć się z najrozgłośniejszymi wodospadami w Europie. Oderwawszy się od cudownego widoku, zeszliliśmy na drogę ku Świstówce. Wiatr osuszył kamienie, więc usiąść było można; przy chwilowym odpoczynku pokrzepiliśmy żołądek, słońce zaświeciło a odzież nasza w części obeschła; wszystko to przywracać nam poczęło wesołość.

Czekano nas wejście na grzbiet Świstówki, która, oddzielając się od głównego grzbietu, wznosi się ścianą prawie prostopadłą pod kątem 70 stopni nad doliną Róztoki. Jest to najstromejsza skała w Tatrach, na której ani trawka się nie utrzyma, a wznosi się bezpośrednio nad doliną przeszło 2,000 stóp. Z tej strony jednak, którą widać ścieżka na jej wierzch, jest Świstówka trawiasta i łatwo dostępna. Ludzie przecież, doznający zawrotu głowy na widok przepaści, i po tej ścieżce z wielką obawą postępują, niektórych nawet podróżnych tedy przewodnicy za ręce prowadzą. Kilka razy już tą drożyną szedłem i na sobie tego nie doświadczyłem, lecz Władysław, ledwo wyszedł na grzbiet, jak nam opowiadał, słysząc nas za sobą a mając przewodnika przed sobą, wstydził się okazać słabszym od nas i siłą tylko moralną oparł się zawrotowi, który go powoli ogarniał. Ścieżka ta dobrze wydeptana, wiodąca z boczem trawiastym w górę, może oddziaływać na podlegające tej słabości osoby jedynie przez to, że jednostajny ton zielony nagle pochyłego trawnika działa monotonnie na wzrok i wzniewa obawę wywrócenia się i potoczenia gdzieś w otchłań, której dna ztąd nie widać. Była godzina 5¹/₂, gdyśmy na wierzchu Świstówki odpoczywali; widok bardzo piękny rozciągał się przed nami, na krawędź góry żadne z nas nie poszło zaglądać w przepaść do doliny, bo to Władysława przestraszało. Dawniej chodząc tedy za moich czasów akademickich w towarzystwie kolegów, wychylałem głowę wraz z innymi po za krawędź, ale nas dreszcz przejmował, tak tam było strasznie spojrzeć.

Ztąd jeszcze kawałek mieliśmy podobnej drożyny w okrag na główny grzbiet, zatem wzięwszy między siebie Władysława, wkrótce stanęliśmy na najwyższym punkcie tej drogi, z kąd już prawie ciągle szło się na dół. Pragnienie nam dokuczało, chociaż szum wody nas dolatywał, ale gdzieś z przepaści, a najbliższe źródło mieliśmy napotkać dopiero w dolinie Białki. Całą prawie godzinę ćwiczyliśmy się w gimnastyce, bo schodząc bezprzestannie na dół, trzeba było opierać się siłą ciężeniu, tak że w kolanach zabolowały nogi, nim przez Ubocz koło opuszczonego już wtedy szłaśu przybyliśmy na drogę jezdną, gdzie tuż przy niej wytryskują źródła wy-

borniej wody. Namysłaliśmy się, obojętnie opuszczony szłaś, czyby nie można tu przenocować; spostrzegliśmy w nim ślady pobytu turystów, bo ryżu było trochę rozsypanego. Lecz gdy ztąd jeszcze tylko pół godziny drogi do Morskiego Oka, nie chcieliśmy nam się napowrót tu chodzić, aby znowu na drugi dzień rano o tę samą przestrzeń nie przyczyniać sobie drogi.

Wszędzie było mokro, każda dotknięta gałąź moczyła nam odzież, dróżynami płynęła woda a trawa, borowina lub mech przesycone wilgocią smutną rokowały nadzieję na noc o suchy kącik, gdzieby choć kilka godzin można było spocząć wygodnie. Nie wiem też, czy kiedykolwiek więcej niż wówczas pragnęliśmy pogody. Im bliżej byliśmy Morskiego Oka, tém bardziej się nam spieszyło. Władysław łudzony widokiem Mięgoszowieckiego Szczytu, który wprost wznosi się po nad jeziorem, sądził, że za łada brzeżkiem ujrzy powierzchnią sławnego stawu tatrzańkiego; tymczasem coraz coś nowego przybywało, las, krzewy, droga głazami wysłana, wreszcie równinka, gdzie od zachodu widać lepiankę podobną do budy w dolinie Pięciu Stawów, a od wschodu bagnisko wody, którą w czasie wezbrania Białka pozostawia. Głazy wielkie zalegają drogę wiodącą na wał porosły kosodrzewiną i borowinami, z kąd ujrzeliliśmy naraz całą powierzchnią Morskiego Oka; olśnieni jego wspaniałością chwilę staliśmy w zadumaniu, chociaż tą razą w pomroce, bo słońce już tylko szczytu turni oświecało, przez co wiele przed nami wdziałek zakryło.

Morskie Oko lub Rybie Jezioro rozciąga się 57 morg. 534 sąż. kwadr. na wysokości 4,460 stóp; jest to największy według pomiaru Kleina, nadleśniczego z Bukowiny, który mierzył powierzchnie stawów tatrzańskich, staw w całych Tatrach po Wielkim, jednym z Pięciu Stawów. Kształt ma owalny, dłuższy w kierunku z północy na południe; o głębokich jego łud rozpowiada cudowne wieści. Według ludowych opowiadań Morskie Oko styka się z morzem, bo jakiś podróżny, który przy rozbiciu okrętu stracił swój kuferek z kosztownościami, zwiedzając Tatry odnalazł go na powierzchni wody Morskiego Oka. Właściwa jego głębokość według pomiarów Zejsznera wynosi od brzegu w odległości 300 stóp 99 st. paryzkich, dalej 128, w połowie długości 140 i 144 st.; największa głębokość 146¹/₂ st. znajduje się w pobliżności turni Mnichem zwanęj.

Zowie się także ten staw Rybim z powodu, że w jego wodach żyją ryby, gdy we wszystkich innych stawach tatrzańskich się nie chowają, oprócz jeszcze jednego po węgierskiej stronie, zwanego Małym Rybim lub Popradzkim. Pochodzi to ztąd, że potokami w górę nie mają ryby przystępu z powodu wysokich progów, które tworzą piękne wodospady; Białka jednak w całym biegu od Morskiego Oka aż do swego ujścia w Dunajcu nie ma kaskad. Dotąd rozpoznano dwa rodzaje ryb w Morskiem Oku: pstrągi i łososie.

Potoki dwa wpadające do Rybiego, z Czarnego Stawu jeden a z po za Mnicha drugi, nie udzielają tyle wody, ile wydaje jezioro dając początek Białce, z czego wnosić trzeba, że muszą pod powierzchnią jego znajdować się liczne źródła. Pierwotnie, zdaje się, utworzył się staw ze ściekowej wody po deszczach i z topnienia śniegów i niemi się zasilą ciągle, bo woda do picia nie dobra pomimo niezwykłej czystości; smak ma deszczówki, przez co jest wyborna do herbaty. Podróżni czerpią wodę do picia ze źródła, które się napotyka przy drodze prowadzącej do Morskiego Oka.

Piękność niezmierny urok Morskiego Oka stanowi jego położenie, co je wyróżnia od innych jezior tatrzańskich. Leży ono jeszcze w krainie lasów na wysokości 4,460 st., zatem brzegi jego zdobią oprócz kosodrzewu świerki i śliczne limby. Otoczenie tworzą góry wznoszące się do znamienitej wysokości, jak od zachodu Międziane (7,133'), od południa Mięgoszowski szczyt (dotąd

dla niedostępności niezmierny, osądzić go można w przypuszczeniu na 7,600 st.), od niego na wschód Rysy (7,309'). Kształty zwłaszcza Mięguszowskich turni są bardzo fantastyczne, przepaściste, ze strachem przejmują myśl drapania się na te skały, a jednak strzelcy chodząc za kozicami, znają się z niemi jak z kątami własnej chaty. Opowiadał nam Wala, jak wiele tych niewinnych zwierząt padło pod ich strzałami. Kozice jak i świstaki były dotąd przedmiotem zacięłości ludzkiej, nim się za życiem biednych zwierząt ujęło kilku uczonych miłośników przyrody ojczyźnej. Komisja Fizjograficzna Tow. Nauk. w Krakowie, którą składają właśnie owi miłośnicy natury, ochroniła od zagłady w Tatrach kozice i świstaki przez uzyskanie na drodze ustawodawczej zakazu bezwarunkowego polowania na zwierzęta, które są wielką ozdobą wszelkich wyższych gór. Przyczynia się dużo do spotęgowania piękności Morskiego Oka kotlina, w której się Czarny Staw mieści, rozszerza ona przestrzeń Rybiego w malowniczy bardzo sposób. Oko ludzkie buja gdzieś po dzikich turniach Rysów, strojnych w płaty śniegu, szczególnie uroczą, gdy słońce w godzinach południowych zajrzy z po za szczytów i oświeci obadwa stawy. Granica węgierska ciągnie się najwyższym grzbietem od Miedzianych przez Mięguszówkę, Rysy i schodzi wierchami do Białki opodal ujścia Roztoki.

W nazwach różnią się Węgrzy od Polaków, bo przybawając tu licznie od Jaworzyny Spizkiej dla zwiedzenia Morskiego Oka zowią je Rybiem, a nad niemi Czarny Staw Morskiem Okiem, ztąd Rysy nazywają szczytem Morskiego Oka.

Rozpatrując się tak z rozkoszą w nigdy dostatecznie nie wielbionym widoku, zmierzchno się i trzeba było do następnego dnia odłożyć zwiedzenie dokładne Morskiego Oka. Tymczasem Wala odszukał swego syna, co tu miał nas oczekiwać z odzieniem grubszym, żywnością i przyborem herbacianym. Chcieliśmy zgotować herbatę z wody jeziora i spożyć tu wieczerzę, lecz przewodnik radził nie czekać zupełnie nocy, by się dobrze umieścić na nocleg gdzieś w lesie. Wróciliśmy tą samą dróżką, kwadrans drogi, do lasu, zboczyliśmy ku Białce po bujnej borowinie i olbrzymim mchu, gdzie wśród grubych drzew wybrał nam Wala wyborne zacisze. Pierwszą czynnością Walów, ojca i syna, było rozniecenie ognia. Naznoscili gałęzi uschłych, lecz tym razem nie suchych, te po chwili buchnęły silnym płomieniem i naokoło ożywiły nas ciepłem. Józef Wala wyrąbał w połowie wysokości zapewne od burzy złamane drzewo, runęła kłoda z hukiem, gałęzie trzaskały od gorąca, a powoli w okrąg ogniska osuszyła się ziemia, że się można było rozłożyć jako tako. Porozwieszaliśmy mokrą odzież, tymczasem zawrzała woda na herbatę, ciepło się zrobiło tak, żeśmy lekko ubrani swobodnie odpoczywać mogli, nie czując chłodu nocnego ani wilgoci, którą przesycone było wszystko na około nas po za obrębem naszego stanowiska. Przewodnicy nacięli gałęzi drobnych świerkowych, które osuszone miały nam służyć za posłanie. Herbatą raczyliśmy się do syta, gdyż to w górach napój nieoszacowany, poczem trzeba było myśleć o ułożeniu sobie jak najdogodniejszego posłania. Było nam już ciepło, sucho i, jak na nocleg w lesie, wygodnie, ale obawa deszczu nas trwożyła, bo aż smutno było pomyśleć o losie naszym w przypadku sloty.

Późno w noc znużeni pokładliśmy się spać; ciało skołatane całodzienną biędą potrzebowało wypoczynku choćby i na tak obozowym posłaniu, jakie nam przygotował przewodnik. Cisza zaległa okolicę, drzewo gorzało spokojnie, szum Białki kołysał do snu, a na niebie czystym jaśniały gwiazdy, przeglądające między gałęziami. Obaj Walowie, pokładszy się blisko ognia, zmieniać musieli pozycje w inną stronę, gdy z jednej gorąco im do-

piekło; my nie nawykli do koczowniczego życia, nie mogliśmy zasnąć aż nad ranem. Lecz w czasie tym ognisko przygasło a zimno dojeło nam, że sen odbiegł.

Przed świtem powstaliśmy wszyscy, Walowie na nowo ogień rozpalili, herbatę zgotowali i nią pokrzepieni, po spożyciu, co Bóg dał, układaliśmy plan na cały dzień, zwłaszcza gdy po całonocnej pogodzie rano słońce pięknie wierzchołki gór oświeciło. W dolinie panował jeszcze chłód i poranna wilgoć.

Wkrótce jednak zaczęły przeciągać nisko chmury, które, nim doszliśmy nad brzeg Morskiego Oka, zamieniły się w tak gęstą mgłę, iż na 10 kroków przed sobą trudno było co widzieć. Wiedząc dobrze, co to znaczą mgły w Tatrach, że czasem kilka dni trwają, poczęliśmy uważać cel podróży za zwichniony. W takim złem usposobieniu, gdy i górale nie dobrego nie wróżyli, usiedliśmy nad brzegiem jeziora i rozmyślaliśmy nad marnosciami świata. Morskie Oko wydało nam się obecnie marnością, kiedyśmy stracili nadzieję oglądania go, a mnie szczególnie chodziło o zwiedzenie Czarnego Stawu. Przed oczami naszymi przy brzegu leżała tratwa, która mi przypominała zdarzenie malujące dobrze charakter górali z Białki. Tratwę tę wraz z nieistniejącym już szałasem zbudowano na rozkaz właścicieli Zakopanego, gdy mieli tu tłumy gości cesarsko-królewskich przyjmować. Starano się bowiem bądź co bądź uzyskać szlachectwo, w tym więc celu czyniono wszystko, aby zobowiązać sobie rząd austriacki. Podróżni przybawający do Morskiego Oka mieli jakiś czas wielką wygodę z szałasu, nim go Białczanie spalili, z tratwy zaś przyjemność, nim zbutwiała. Dwa pokłady belek na krzyż pozbijanych stanowiły tratwę, na jej wierzchu były ławki, poręcze i kołki pomocne do wiosłowania. Z wszelkiemi bezpieczeństwem można się było puszczać na głębie jeziora na tej tratwie i niezmiernie to uprzyjemniało zwiedzenie Morskiego Oka, zwłaszcza gdy towarzystwo liczyło między sobą kilku śpiewaków. Wystawiona jednak tratwa zimą i latem na działanie wszelkich żywiołów niszczących musiała naturalnie zbutwieć, chociaż jeszcze unosi się na powierzchni wody. Dla omanienia głupich ludzi Białczanie pokładli kilkanaście żerdeń na wierzchu tratwy, aby tylko goście do pływania skusić i mieć sposobność wydzierania zapłaty za wiosłowanie. Od kilku już lat kto się odważał pływać na niej po jeziorze, ryzykował życie, gdyż raz musi nastąpić chwila, gdy tratwa, coraz bardziej zagłębiając się z belkami, zanurzy się na zawsze, a przecież tego momentu nie można przewidzieć. Otóż przed niedawnym czasem grono osób przybyłych z Krakowa udało się do Morskiego Oka. Towarzystwo składało się z osób obojgiej płci i różnego wieku; z nich młode pokolenie, idąc za namową górali, weszło na tratwę dla pływania po stawie; gdy jednak ich nie wezwano do wiosłowania, bo mężczyźni w usługach pań sami się wzięli do tej roboty, nastąpiło rozczarowanie. Wówczas Białczanie po odbiciu od brzegu tratwy poczęli straszyć pozostałą starszą część towarzystwa, że tratwa jest zgniła, łatwo może zatonać, zwłaszcza gdy nadpłyną na wir koło środka jeziora, i tym podobne pletli banialuki, prawdziwe tylko pod względem złego stanu tratwy, ale fałszywe co się tyczy wiru, jakiego na całym Morskiem Oku nie ma. Wywarło to zgubny wpływ na pozostałe osoby, zwłaszcza kobiety, które poczęły już rozpaczać o los rodziny i przyjaciół. Napróźnie były ich wołania, zaklinania, giesta, bo tego pływający zrozumieć a nawet, będąc już dalej na wodzie, usłyszeć nie mogli. Można sobie więc wyobrazić położenie osób drżących z obawy przez cały czas, nim młodzież wesoło i szczęśliwie wróciła po całonocnej zabawie. Białczanie, rozumie się samo przez się, nie czekali powrotu młodzieży, czmychnęli hultaje w lasy, aby uniknąć spodziewanej zapłaty. (Dokończenie nastąpi).

RZECZACH POLSKICH.

— W kwestji **Pracy kobiet** czytamy w warszawskim „Opiekunie domowym“ następujące słowa, zasługujące na powtórzenie:

„Wiele u nas pisano i rozprawiano o emancypacji, o prawach kobiety, o jej udziale w społecznej pracy, o politowaniu godnym położeniu tych istot, co nie mając posagu, nie mając środka zarobienia na chleb powszedni, pozostają chcąc nie chcąc ciężarem rodziny. Wystąpienia takie muszą mieć swoją przyczynę, muszą być wywołane koniecznością i potrzebą. Kobiety nasze a przede wszystkim panny na wydaniu zbyt dobrze znają całą trudność obecnych warunków. Zachwiany materialny byt rodzin, brak zajęcia dla starszych i młodszych, ograniczone pole działalności dla ludzi, co na kawałek chleba pracować muszą, pomniejsza liczbę małżeństw a tém samym wiele dorastających dziewcząt skazuje na bezowocne wyczekiwanie konkurentów. Cóż pocnie biedna dziewczyna, gdzie się obróci, aby znaleźć sposób utrzymania, zdobyć zajęcie, coby chleb dało? Jeżeli rodzice posiadają ką własny, jeżeli łyżka strawy, jaką córka spożywa, nie czyni im różnicy, ha! wtenczas vegetuje biedne dziewczę jak owa roślina bez słońca, przesiaduje z robotką, chodzi z kluczykami wyręczając matkę, czasem uczy młodsze rodzeństwo czytać i pisać, a resztę dnia spędza na czytaniu książek, jeśli je ma, lub rozmyśla nad smutną dolą swoją. Biedna dziewczyno — jakże wczesnie zwątpienie ogarnia twą duszę — jak wczesnie żegnasz nadzieję i ideały, marzenia i sny o przyszłości!... Brak stanowiska, brak zajęcia nęka proletarjat niewieści a dolega tém więcej, że niejednokrotnie formy światowe nie pozwalają panie dobrze wychowanej zajmować się pracą, która chleb daje — narażają na śmieszność i drwiny, źle wpływają na reputację. Jedno tylko nauczycielstwo jako przyjęło się i zyskało choć w części przyzwolenie nierozsądnej opinii. Ale nauczycielkami nie wszystkie kobiety być mogą, uczniów i uczennicy nie starczyło, zresztą jakże wytrzymają konkurencję z Niemkami, Szwajcarkami, Francuzkami. Jakkolwiek niektórzy słusznie utrzymują, że kobieta zajęcia chlebobajnego nie znajdzie — jednak nie do wszystkich rodzajów pracy stosuje się ta prawda. Magazyny strojów damskich, krawieczyzna, rękawicznictwo, nawet w części szewstwo (szycie cholewek do kamaszy i trzewików), introigatorstwo, służba sklepowa w handlach bławatnych, fotografia, drzeworytnictwo, zecerstwo są zawodami, jakie kobiety nasze przy tém uzdolnieniu, jakie posiadają, zajmować mogą. Pomijając literaturę, na polu której wiele kobiet obecnie pracuje, jużto pisać rzeczy oryginalne, już tłumaczyć z obcych języków, pomijając sztuki piękne, zawód u nas mało procentujący, pomijając aptekarstwo, które bądź co bądź wymaga kilku lat pracy w aptece i dwuletnich studjów w uniwersytecie, po za obrębem tych zajęć wprawdzie z trudnością ależ zawsze kobiety kawałek chleba w zawodzie specjalnym znaleźćby potrafiły. Obecnie jeden z panów kupców powziął myśl przyjmowania kobiet na subjektów handlowych. We Francji spełniają one ten urząd doskonale, bo przecież odważnie cukru, herbaty, opakowanie towaru i służba za kantorem ani sił fizycznych ani zdolności kobiecych nie przechodzą. Gdyby ten projekt wszedł w życie i znalazł naśladowców, nowa gałąź pracy kobiecej zapewniłaby byt i utrzymanie niejednej młodej dziewczynie, co dzisiaj bez zajęcia, bez chleba, bez opieki, może nieraz staje się łatwym łupem tych wszystkich, co skalani brudem namiętności, cychają tylko na pierwszą dogodną chwilę, aby skorzystać z nieświadomości, porwać w swe dłonie niedoświadczoną istotę, ponieść w wir rozpustnej

uciechy, zbezczęścić, sponiewierać i rzucić na pastwę drugim, równie zezwierzęconym i równie podłym. Zajęcie i chleb, podane młodej dziewczynie, dają jej wiarę we własne siły, dają poczucie samodzielności, usuwają marzycielstwo bezowocne, wrywają z biernej apatii a nieraz uchronią od strasznego moralnego upadku. Myśl przyjmowania kobiet na subjektów handlowych jest w naszym rozumieniu najzupełniej logiczną i możebną do wykonania. Jej projektodawca, podnosząc ważną dla niezamożnych dziewcząt sprawę, może drugich przykładem swoim zachęci i przyczyni się do polepszenia losu tej zapomnianej części społeczeństwa, która cierpi dla tego, że się kobietami urodziła.“

* * *

— W Warszawie wyszły w ostatnich czasach następujące dzieła:

Mściława Kamińskiego: „Kobieta, miłość i małżeństwo.“

Möllera w tłumaczeniu **Chęcińskiego**: „Młodość sławnych ludzi.“

W. Kruzińskiego: „Szkoła czyli systematyczny wykład gry na fortepianie.“

Emilji Leja: „Krótki rys zoologii.“

* * *

— W Lipsku wyszła powieść **Michała Czaykowskiego** p. t. „Nemolaka“ — w Krakowie zaś „Wykład zasad ekonomji społecznej“ przez **Stanisława Zorańskiego**.

* * *

— Nakładem synów **S. Orgelbranda** w Warszawie wyszedł „Przewodnik dla podróżujących za granicę.“ Jest to część pierwsza, obejmująca Austrię, Niemcy i Szwajcarię. Opracowanie dokładne i staranne. W dziale Austrii uwzględniono należyście podróz do Krakowa, Lwowa, w Tatry, do Szczawnicy, Krynicy, Iwonicza i innych miejscowości, o których nie znajdziemy wzmianki w przewodnikach zagranicznych. Na końcu dołączono mapę kolei żelaznych w Europie środkowej. Dla udających się bądź do wód zagranicznych, bądź w podróz po Europie, przewodnik pp. **Orgelbrandów** będzie niedozownym podręcznikiem, zastąpi bowiem najzupełniej wszelkie **Bädekery** i **Murraye**.

* * *

— Pan **Aleksander Swieczyn** tłumaczy wierszem „Zemstę za mur graniczny“ **Fredry** a tłumaczenie to zbliża się już do końca. „Zemsta za mur graniczny“ ma być przedstawioną na jednym z petersburskich teatrów z zachowaniem możliwej wierności kostjumów i charakteryzacji. Tłumacz używa do przekładu wiersza mieszanego a stara się o ile możności najwierniej odtworzyć rzeźki i barwny język oryginału.

* * *

— „Fragmenta o Filipie z Konopi“, jeden z najcenniejszych utworów epickich **Ludwika Kondratowicza**, (zamieszczony w kompletnym wydaniu jego **Poezji** w tomie II), przełożono na język rosyjski i ogłoszono w tomie lipcowym **Więstnika Europy**.

* * *

— **P. Marceli Nencki**, **Sieradzanin**, uczeń niegdys gimnazjum piotrkowskiego, liczący obecnie lat 26, zamianowanym został zwyczajnym profesorem uniwersytetu w Bernie na katedrze chemji fizjologicznej, przytém oddano mu pod zarząd i kierownictwo laboratorium.

W laboratorium tém pracują przy nim: brat jego Leon Modrzejewski i Edmund Rakowiecki, doktorowie i wychowawcy b. Szkoły głównej.

— Mamy pod ręką nader pożyteczną i nader tanią książeczkę a tytuł jej „Ekonomia polityczna w życiu praktycznym.“ Jest to krótki ogólny rzut oka na zna- czenie ekonomiki, nauki nadzwyczaj ważnej i nadzwyczaj u nas zapoznanej. Cały szereg równie pożytecznych i równie tanich książeczek, traktujących n. p. o fizy- cznych własnościach powietrza, o sposobie zostania szcze- śliwym, o chemicznych własnościach powietrza, o prze- widywaniu i oszczędności, o kredycie ludowym, o stowa- rzyszeniach spożywczych i t. p. wyjdzie w dalszym ciągu nakładem znanej i zasłużonej firmy księgarskiej Orgel- branda synów a pod kierunkiem współredaktora dwu- tygodnika „Niwa“ p. Henryka Elzenberga.

— P. Bronisław Smoleński z Warszawy wynalazł szczególnie aparat optyczny, za pomocą którego z nad- zwyczajną łatwością różnizować będzie można fałszywe bilety kredytowe.

— Gazeta „Ruski Mir“ donosi, że kwestja roz- woju wykształcenia rzemieślniczego między włościanami Królestwa Polskiego jest obecnie, przedmiotem obrad w wyższych sferach rządowych.



Bibliografja
dotycząca
Kościuszki Tadeusza
i czasów jego.
(Dokończenie.)

- Sierakowski generał ob. Kampanja.
- **Sirisa** „Polens Ende, hist., stat. u. geogr. beschrieben, War- schau, im Jahre 1773, 1793, 1795“, wydane r. 1797 z 4 rycinami i mapą geograficzną.
- **Smitt Friedr. v.** „Geschichte des polnischen Aufstandes und Krieges.“ 1839. Brln.
- **Sotowiewa Sergieja** „Istorija padienija Polzsi“, 1863, Mo- skwa, — krytycznie ocenili Jan Chyliński w IX tomie „Bibli- teki Ossolińskich“, 1866, Lwów, i Leon Wegner w Nr. 259 sqq. „Dziennika Poznańskiego“ z r. 1865; — przekład niemiecki, do- konany przez J. Spörer'a, wyszedł w Gotthą r. 1836 p. n. „Ge- schichte des Falles von Polen nach russischen Quellen.“
- **Sołtyka Romana** „La Pologne“, précis hist. polit. et milit. de la Révolution, précédé d'une esquisse de son hist. depuis l'origine jusqu'en 1830. Paris 1833.
- **Soulé's Fr.** „Geschichte der Revolution in Nordamerika, aus dem franz. von K. Hammerdörfer. 1788, Zürich.
- **Spittler.** Entwurf der Geschichte der europ. Staaten. 1807. Berlin. Tom II.
- „Staats u. Gelehrte Zeitung des Hamburgischen unpar- theyischen Correspondenten.“ Dodatek do Nr. 170 r. 1794.
- **Stedmann, Carl.** Geschichte des Ursprungs, des Fortgangs und der Beendigung des amerikanischen Krieges, aus dem engl. von J. A. Remer. 1795. Brln.
- **Strahlheim, Carl.** „Die Geschichte unserer Zeit“ — „Unsere Zeit oder geschichtliche Uebersicht der merkwürdigsten Ereig- nisse von 1789—1830.“ Stuttgart, 1828, Tom XIII, str. 211 sqq.
- **Sułkowski Józef** ob. Saint-Albin.
- **Święckiego Tom.** „Historyczne pamiątki znamienitych ro- dzin i osób dawniej Polski“, w rękop. przejrzał, przypisami uzu- pełnił i wydał Fr. Henr. Lewestam w Warszawie r. 1856, — ob. artykuły „Kościuszkowie“ i „Kościuszko.“
- „Tadeusz Kościuszko“, krótki życiorys zamieszczony w „No- wym Kalendarzu Krakowskim“ na rok 1832.
- „Tadeusz Kościuszko i Napoleon Bonaparte“, zbiór myśli i zdań wyjętych w ustępach z dzieł i pism panów J. Michelet i t. d. Wydanie, nakład i własność H. Letronne, 1869, Lwów.

- **Towiański Andrzej** — Ustęp z pisma „Do Rodaków tułacz kończący tułactwo“ w dziele Tadeusz Kościuszko, wyd. Letronne.
- **Treskow, A. v.** „Beitrag zur Geschichte des polnischen Revolutions - Krieges im J. 1794. Feldzug der Preussen. Mit Benutzung authentischer Quellen bearbeitet. Mit Plänen u. Bei- lagen.“ 1836. Danzig.
- **Tymowski Kanterbory** ob. Jullien.
- „Unsere Zeit“, ob. Strahlheim.
- „Uroczyśćość w dzień rocznicy śmierci ś. p. Tadeusza Ko- ściuszki, dnia 15 października 1835 r. obchodzona w Solurze“, zam. w Nr. 245 Dziennika Poznańskiego z r. 1865.
- **Vernet, H.** ob. Lagarde.
- „Versuch einer Geschichte der letzten poln. Revolution v. J. 1794.“ II tomy r. 1796.
- **Volney** „Tableau du Climat d'Amérique“, str. 431, 465.
- „Vom Entstehen und Untergange der poln. Const. v. 3. Mai 1791. — 1793.
- „Warschauer Zeitung für Polens freye Bürger.“ Rok 1794.
- **Washington Jerzy** do T. Kościuszki list z głównej kwatery pod Peekskill dnia 3 sierpnia 1780 i drugi z Mount-Vernon dnia 31 sierpnia 1797, zamieszczone w II tomie na str. 223 i 434 „Leben u. Briefwechsel G. Washingtons“ nach dem Engl. des Jared Sparks im Auszuge bearb., — herausg. von Fr. v. Rau- mer, 1839. Lpzg.
- **Washington Irving.** „Lebensgeschichte Georg Washington's, aus dem Engl.“ Leipzig. 1858.
- **Wegniera Leona** „Bitwa pod Maciejowicami dnia 10 października 1794“, według źródeł mniej przystępnych opowie- dziana. 1863. Poznań; — „Ostatnie dni powstania Ko- ściuszkowego“ od 12 października do 8 listopada 1794 roku, w VI Roczniku Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego, 1872, Po- znań, str. 247 sqq.; — „Racja wice i Szczekociny“, roz- prawa zamieszczona w I i II zeszytcie „Przeglądu Wielkopo- lskiego“, 1867. Poznań; — „Tadeusz Kościuszko.“ Dwa ustępy z żywota jego (1796—1798) i (1814—1817) zamieszczone w VII Roczniku (1872) Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego, str. 177 sqq. — ob. Sołowiewa S. Istorija...
- **Williams...**
- **Winkiewski Aleksander, Dr.** „Wspomnienie obchodów po-

grzebowych ś. p. Tadeusza Kościuszki i Henr. Dąbrowskiego, jenerałów polskich — w Poznaniu dnia 6 grudnia 1817 r i 25 czerwca 1818 r. — zamieszczone w Nr. 124 Dziennika Poznańskiego. Rok 1868.

— **Wittenberg, Albrecht.** „Historisch - politisches Magazin.“ Rocznik VIII, tom XV, str. 1—6.

— **Witwicki** w „Wieczorach Pielgrzyma“, wydanych po raz wtóry w Paryżu r. 1844.

— **Wójcicki, Wł. K.** „Amerykanin“, powieść z czasów Kościuszki, zamieszczona w „Sobótce“ w 1869 r.

— **Wojda** „O rewolucji polskiej w r. 1794.“ Poznań, 1867, J. K. Żupański.

— **Woronicza J. P.** „Przemowa przy złożeniu do grobu śmiertelnych zwłok Tadeusza Kościuszki“, miana w kościele katedralnym krakowskim dnia 23 czerwca 1818. — Dzieła, wyd. Bobrowicza, 1853, Lipsk, III, 130.

— „Wspomnienia damy polskiej z XVIII wieku“, obejmujące zdarzenia z lat 1789 sqq. zamieszczone są w I zeszytce „Archiwum Wróblewieckiego“, 1868, Poznań.

— **Wybickiego** Pamiętniki.

— **Zajączek**, ob. Histoire.

— **Zajączka** Raport od korpusów dywizji dnia 2—3 IX bris 1794 r. na Pradze podany, — u gen. Paszkowskiego.

— **Zakrzewskiego**, b. prezydenta m. s. Warszawy w Petersburgu „Tłomaczenie się“ w Pamiętnikach z XVIII w. wydanych u J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

— **Zbiór** wszystkich pism urzędowych od zapisania aktu powstania w Krakowie. 1794. Kraków.

— **Zedlitz, Freiherr v.** „Polen.“ Ein hist. geogr. stat. Taschenbuch. 1831. Brł.

— **Zenowicza** hr. „Mémoires.“

— **Zielińskiego Józefa** „Histoire de Pologne depuis son origine jusqu'en 1795.“ Paris, 1830.

— **Zienowicz Michał.** „Opis kampanji pod Wyszowskim oraz Bitwa pod Chelmem.“ Poznań, 1862. Pamiętniki z XVIII w. J. K. Żupański

Skrzynka do listów.

— Abonentowi z R. p. D.: Z istniejących map geograficznych dawniej Rzpltej polskiej, na których są zaznaczone zmiany granic kraju, polecić możemy wydaną roku 1831 w Manheimie u Rudolfa Schlicht'a p. n. „Historisch-statistisch-geographische Darstellung des Königreichs Polen, 1770, 1773, 1793, 1795, 1807, 1815.“ — Mapę tę, na płótnie, nabyć tu można w Poznaniu za 1 tal. 10 sgr. — chętnie w tej mierze pośredniczyć będziemy.

Zagadka.

Jam zwierzę ciekawe, czy nóg mam dwie pary
Czy jedną. Nie cierpię swych równych przy sobie.
Drży z trwogi o los mój i młody i stary,
Gdy rzucę się na co nie dbając: co zrobię!?!...
I piękną i straszam; jam sroga — a tkliwa.
Jam godłem przewagi nad duchem sił ciała.
Wytepić mnie pragnie część ludzi uczciwa:
Lecz cczą mnie, gdzie zbytki, — gdzie wojen duch pała.
Tronowe popędy: to moja istota,
Żyć mogę, gdzie zbytek jest krwi albo złota;
Choć gmin mną pogardza, lecz mną się zachwyca,
Mą nazwą sejm każdy bez się zaszczyca.

* * *

Kto pierwszy z abonentów Tygodnika Wielkopolskiego piśmiennie przesła francz wyraz tej zagadki, otrzyma w nagrodę jak najznakomiciej dokonanej, przez p. **Juljana Morgensterna**, tutejszego fotografa: **Widok z natury** zdjęty wnętrza kościoła **XX. Bernardynów** w Poznaniu.

Podobne nagrody rozpisywać będziemy odtąd z każdym numerem. Fotografie takie oryginalne krajowych pomników są w wielkim formacie na papierze welinowym.

Magazyn fortepjanów K. Dmochowskiego w Poznaniu.

Wrocławska ulica Nr. 15, dawny Hotel saski

Zaopatrzone w znaczny dobór najprzedniejszych fortepjanów skrzydłowych z mechanikami angielskimi i niemieckimi; — **Pianina** systemu amerykańskiego, całe z żelaza i metalu (Monitor invisible) z tonami olbrzymimi, przewyższającymi tony skrzydłowych. — **Pianina** zwyżające w różnych rozmiarach, **harmonje à manivel** dla dzieci i dla starszych do tańca — oraz inne instrumenty muzyczne — poleca się łaskawym względem Sz. publiczności.

Przyjmują się zamówienia na wszelkie reparacje i strojenia i takowe dopełniają się z największą dokładnością i akuracją. (125)

Czemuz cierpieć?

Łamanie w kościach, ból w biodrach i krzyżu, migrenę, reumatyzm, stężalność członków, żganie w boku, kurcz w łydkach leczę gruntownie chociażby w rozpaczliwych przypadkach.

Karol Simon, hydropata, wynalazca Fluidu i opartej na nim sztuki leczenia. Leszno. (124)

Epileptyczne kurcze

(wielką chorobę)

leczy listownie lekarz specjalny dla epilepsji **Dr. O. Killisch**, Berlin, Louisenstrasse 46.

W tej chwili ma przeszło tysiąc pacjentów. (92)

Piwowarnia Dominialna Czarnkowska

poleca wyborne

Piwo Czeskie.

wyrabiane przez jednego z najlepszych piwowarów Czeskich, który będąc kilkanaście lat dyrygentem najslawniejszych Wiedeńskich i Czeskich piwowarni, obeznany jest najdokładniej z tamtejszym sposobem warzenia piwa. Piwo Czarnkowskie nie ustępuje w niczem piwom wyrabianym w Czechach, jest smaczne, czyste i zdrowe, z najlepszego jęczmienia i chmielu robione, bez wszelkich dodatków, które, jak liczne dowody stwierdzają, nadzwyczaj są dla zdrowia szkodliwe.

Zamówienia przyjmuje niżej podpisany Zarząd.

Cena beczki w mlejszu tal. 7, — 30 butelek tamże tal. 1.

Beczki, pudła z butelkami jako też i butelki opatrzone są stemplem piwowarni, na co się uwagę Szan. Publiczności zwraca. Czarnków w lutym 1873. (95)

Zarząd Piwowarni Dominialnej w Czarnkowie.